GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1936 R.

Nr. 21 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 21
1936 R.
1 — XI

GRZEGORZ TUROWSKI

PRZEBUDOWA

Reforma rolna stanowi na odcinku wiejskim poczynanie najpoważniejsze i o najszerszym zasięgu oddziaływania, wiodące do zorganizowania życia wiejskiego na nowych podstawach, dostosowanych do warunków „rzeczywistej rzeczywistości".

Po zakończeniu wojny światowej cały szereg narodów Europy środkowej i wschodniej stał się gospodarzami we własnym kraju. Przed zmartwychwstałymi lub na nowo do życia powołanymi państwami stanął problem zagospodarowania się, urządzenia się we własnym kraju na miarę swych potrzeb i pragnień, przemiany warunków, stworzonych przez obce rządy. Powojenna, naładowana elektrycznością atmosfera, zmuszała do tem śpieszniejszego przystępowania do dzieła, że zaniedbanie reformatorskich poczynań rodzić mogło skierowanie dynamiki społecznej w niepożądanym dla młodych państw kierunku. Kraje Europy wschodniej i środkowej przeżyły w latach powojennych swoją wiosnę ludów, swój okres reform pod kątem potrzeb społecznych i nowych warunków gospodarczych. Na odcinku wiejskim trzonem tych reform było ustawodawstwo agrarne.

W atmosferze wiosny ludów idzie się śmiało naprzód, wierzy się w łatwość osiągnięcia celów, wierzy się, że osiągnięcie ich zapewnia samo przez się lepsze jutro. Z czasem pojawiają się trudności, realizacja zamierzeń jest bardziej złożona niż się to początkowo przypuszczało. Pojawia się także rozczarowanie, okazuje się, że znaczne, czy nawet całkowite zrealizowanie zamierzonych reform nie stwarza jeszcze łatwych, dogodnych warunków życia państwowego. I wtedy właśnie, kiedy taki moment nadchodzi, społeczeństwa zdają swój egzamin dojrzałości. Umieją lub nie umieją przyznać właściwą rolę, określić właściwe miejsce reform, zrodzonych w wiosennej atmosferze, umieją lub nie umieją ich pogłębić, rozwinąć i wykorzystać. Wtedy też, ex post, staje się widocznem, czy waga i charakter podejmowanej reformy były istotnie w danym społeczeństwie rozumiane, czy też reformy te podjęto bez pełnego rozumienia ich wagi społecznej i gospodarczej, jedynie na tle narastającego fermentu. Jeśli chodzi o reformę rolną, zachodziła obawa, iż niedokonanie planowej, prawnej reformy agrarnej grozić może żywiołowym, bezplanowym, niszczycielskim podziałem ziemi na modłę rosyjską.

Nasi bliżsi i dalsi sąsiedzi z grubsza biorąc akcję przebudowy ustroju agrarnego zakończyli w lat kilka. Zakończyli ją rozmaicie — zawsze jednak posuwając się bardzo daleko w kierunku rozparcelowania większej własności. Parcelacja ta w jednych krajach (Rumunia), była bardziej schematyczna, i nie połączona z równoległą akcją w kierunku organizowania gospodarczego rozwijającej się chłopskiej własności, w innych krajach umiano problem rozwiązać szczęśliwiej. Mała Litwa na przykład znalazła w przebudowie agrarnej punkt wyjścia dla konsolidacji narodowej, znalazła punkt wyjścia dla rozwoju spółdzielczości, dla poważnych osiągnięć gospodarczych. Jedna natomiast cecha wspólna jest zarówno czeskiej jak rumuńskiej, zarówno litewskiej jak łotewskiej akcji agrarnej. Nie zostały one zakłócone w poważniejszej mierze próbami zahamowania, wykolejenia z toru, bowiem społeczeństwo w całości widziało w nich nie tylko problem społeczno-gospodarczy, lecz również problem narodowy, skoro wielka własność była w tych wszystkich kra-

jach w olbrzymiej mierze obcą narodowościowo. Raz jeszcze świadczy to o tem, że jakkolwiek wielkie byłoby znaczenie gospodarcze i ustrojowo - społeczne danego przedsięwzięcia, to społeczeństwa współczesne chwytają, reagują silnie nie na gospodarcze i społeczne momenty, tkwiące w danej reformie, lecz na polityczny, narodowy aspekt danego kierunku działania. Dzięki powadze momentów politycznych, dzięki ich plastyce i oczywistości reformę agrarną u naszych sąsiadów przeprowadzono szybko.

U nas inaczej...

Przebieg akcji przebudowy ustroju agrarnego jest zygzakiem wahań, niezdecydowania, czasem bezplanowego pośpiechu, czasem (planowej czy bezplanowej?) opieszałości. Podobnie jak sam przebieg akcji, tak samo też i jego ocena przez opinię jest chwiejna, niejednolita.

Czem to tłómaczyć? Podstawowa różnica sytuacji naszej i sytuacji naszych sąsiadów tkwi bez wątpienia w tem, że wielka własność, stanowiąca przedmiot akcji parcelacyjnej, u nas tylko w województwach zachodnich jest w znaczniejszej części w rękach nie polskich. Co więcej, na niektórych terenach możliwość zwiększenia polskiego stanu posiadania poprzez akcję parcelacyjną została w drodze konwencyj międzynarodowych ograniczona względnie opóźniona. Skutkiem tego polskiej akcji parcelacyjnej zabrakło tego, łatwo chwytającego masy argumentu, że tą drogą ulega wzmocnieniu element rdzennie polski kosztem elementu obcego, skutkiem tego (a także dzięki spekulowaniu na nieznajomości sprawy) można było wmawiać, że wykonywanie ustawy o reformie rolnej może być groźne z punktu widzenia interesów elementu polskiego na wschodzie, tak, jak gdyby żywiołowa, dobrowolna parcelacja prywatna nie prowadziła właśnie w sposób najbardziej jaskrawy do zmniejszania polskiego stanu posiadania. Tradycyjny, silnie w dziejopisarstwie i szerokiej opinii ugruntowany błąd, polegający na przecenianiu roli szlachty w rozwoju narodu polskiego, ba, na utożsamianiu tych pojęć przy całkowitem niemal zapoznaniu roli mas chłopskich i robotniczych, utrudniał tym bardziej zrozumienie ogólno - narodowego znaczenia reformy rolnej. Stało się więc w rezultacie tak, że tempo i sposób wykonywania reformy rolnej przez szereg lat stały się w Polsce zależne od wahań wpływu ugrupowań radykalnych, a w umysłach ogółu silnie utrwaliły się tylko czysto społeczne motywy akcji agrarnej.

Nikła znajomość zagadnień gospodarczych w ogólności, a zagadnień gospodarki wsi przede wszystkim, stworzyła grunt podatny dla demagogicznej akcji kół obszarniczych, zmierzającej do wykazania rzekomej agospodarczości reformy rolnej.

Trudno o większy i bardziej ważki błąd. Bez wątpienia czysto społeczne znaczenie reformy rolnej jest olbrzymie. Bez wątpienia postulat większej równomierności, sprawiedliwszego podziału dochodu narodowego poprzez sprawiedliwszy podział majątku narodowego sam przez się przy współczesnym pojmowaniu zadań Państwa wystarczałby dla uzasadnienia akcji reformy rolnej. W oderwaniu jednak od narodowych i gospodarczych motywów postulat społeczny nakazując dążenie do reformy rolnej, nie mówiłby jeszcze jak i kiedy należy ją realizować. Gdyby bowiem, jak to usiłuje przedstawić obóz obszarniczy, reforma rolna była tylko środkiem odmiennego pokrajania tego samego bochenka dochodu społecznego na mniejsze transze, a nawet prowadziła do zmniejszenia rozmiarów dochodu społecznego, to stalibyśmy w każdej chwili wobec pytania: czy nie należy czas jeszcze jakiś tolerować tych niesprawiedliwości w podziale dochodu i majątku narodowego, które rozmiary dochodu zwiększają? Gdyby istotnie reforma rolna miała za sobą pociągnąć obniżenie wytwórczości, upadek kultury rolnej, itd., to musielibyśmy w niej widzieć jeden z tych naiwnych w gruncie rzeczy prądów, które dają przewagę formule sprawiedliwszej bez wątpienia, ale koniec końców mniej dogodnej dla interesów ogółu. Gdyby reforma rolna posiadała taki charakter, to w kraju ubogim w kapitały i mającym tyle pilnych zadań na odcinku wzmożenia potencjału gospodarczego i wzmożenia obronności, należałoby nie rezygnując z dokonania jej kiedyś, myśleć raczej o opóźnieniu tempa. Ku temu właśnie, ku wykazaniu, że reforma rolna jest tylko postulatem socjalnym, jest wymysłem przeróżnych „Wicków - Socjalików" nie znających rzeczywistości gospodarczej Polski, nie przepojonych troską o ogólne interesy Państwa i Narodu, zmierza dziś zalaczająca szerokie kręgi akcja obszarnicza. Akcja ta nie atakuje—jak niegdyś — reformy rolnej z punktu widzenia obrony „świętych praw własności" i nie zdradza (chyba wbrew woli) swego istotnego podłoża w postaci obrony partykularnego interesu wielkich właścicieli ziemskich, natomiast usiłuje wykazać bezpłodność reformy rolnej z ogólnego punktu widzenia. W tym też celu usiłuje ona fałszywie przedstawić zarówno charakter samej akcji agrarnej, jak i rolę gospodarstwa drobnego w życiu gospodarczym kraju. Akcja ta nie cofa się również przed spekulowaniem na powszechnym dziś zrozumieniu hasła wzmagania obronności kraju.

Powtórzmy raz jeszcze — trudno o błąd większy niż sprowadzanie reformy rolnej wyłącznie do zagadnienia niwelacji, sprawiedliwszego podziału dochodu społecznego. To zagadnienie nigdy nie jest jedynym, a w pewnych warunkach może być nawet uważane za jeden z mniej ważnych aspektów akcji agrarnej.

Jakież inne kąty widzenia mogą tu znaleźć zastosowanie?

Akcja agrarna występuje pod kilkoma postaciami, które zresztą są ze sobą silnie powiązane. Najważniejsze działania agrarne to parcelacja większych obszarów, upełnorolnienie gospodarstw karłowatych, osadnictwo rolnicze, komasacja, oraz prace melioracyjne z powyższymi działami związane. Współzależność poszczególnych odcinków akcji agrarnej jest bardzo znaczna, choć nie zawsze w pełni dostrzegana. I tak np. na terenach, na których dominują gospodarstwa karłowate, przeprowadzanie komasacji jest niemożliwe praktycznie, albo też mało płodne, o ile w drodze parcelacji sąsiedniego, choćby niewielkiego obszaru folwarcznego, nie uda się zapewnić chociażby bardzo skromnych dodatków dla gospodarstw scalanych. Akcja osadnicza prowadzona na jednym terenie, równa się przeprowadzaniu upełnorolnienia na tym terenie, z którego odpływają osadnicy, pozbywający się swych dawnych gospodarstw przechodzących w ręce sąsiedzkich warsztatów rolnych. Stąd

też istotnie syntetyczne ujęcie zagadnienia reformy rolnej wymaga równoległego i równorzędnego uwzględnienia wszystkich postaci działań agrarnych.

Czem są działania te w stosunku do procesów żywiołowych? Co świadoma i planowa akcja Państwa wnosi do procesów samoczynnych?

Błędem niezmiernie rozpowszechnionym jest mniemanie, że proces likwidowania się gospodarstw folwarcznych, rozdrabniania własności wielkiej na włościańską, jest czymś zrodzonym na tle dążeń do reformy agrarnej. Proces ten ma bez wątpienia charakter żywiołowy, istniał przed ustawą o reformie rolnej i istniałby bez tej ustawy. Proste zapoznanie się z cyframi wskazuje, że dobrowolna parcelacja prywatna w każdym wypadku prowadzićby musiała jeśli nie do pełnej likwidacji, to do kolosalnego zmniejszenia stanu posiadania wielkiej własności. Rola państwowej akcji agrarnej polega więc jedynie na przyśpieszeniu procesu, na nadaniu mu charakteru planowego, i na wykorzystaniu akcji parcelacyjnej dla równoczesnego uzyskania efektu w innych dziedzinach akcji agrarnej. Czy fakt zmniejszenia się zapasu ziemi, nadającej się do parcelacji, może skłaniać do rewidowania powyższego ujęcia roli akcji parcelacyjnej? Bez wątpienia nie. Powiedzenie sobie, że wobec niewielkiego zapasu ziemi można proces parcelacyjny puścić na flukta żywiołowości, byłoby tylko wtedy słuszne, gdyby akcja parcelacyjna miała za cel jedynie likwidowanie wielkiej własności, gdyby było obojętnem, co stanie się z parcelowanymi obszarami. Natomiast z chwilą, kiedy dzielenie warsztatów większych służy do innych celów, jest środkiem poprawiania struktury agrarnej, musi się stanąć na stanowisku, że im mniejszy zapas ziemi, tym bardziej planowe musi być jego wykorzystanie.

Co uzyskuje się w życiu wsi i w życiu kraju, dzięki całokształtowi przemian agrarnych, płynących zarówno z żywiołowej tendencji, jak ze świadomego działania Państwa?

Z gospodarczego punktu widzenia do rozważenia nadają się takie kwestie, jak wpływ reformy rolnej na produkcyjność, na wielkość zarówno tej części produkcji, która zostaje skonsumowana wewnątrz gospodarstw, jak i tej, która idzie na rynek, na wybór tych lub innych kierunków produkcji, na zagadnienie jej kosztów, zarówno w sensie wysokości kosztu ogólnego, jak i udziału poszczególnych składników.

Sprawy te są dość dokładnie zbadane, przede wszystkim w skali międzynarodowej, w mniejszej mierze na terenie Polski, należą natomiast do rzędu szczególnie błędnie przedstawianych szerszej opinii przez zainteresowane czynniki. Można się niesłychanie często spotkać z twierdzeniem, że reforma rolna, mnożąc liczbę gospodarstw włościańskich, prowadzi do obniżania kultury rolnej, a kiedyś nawet operowano humorystycznym frazesem, że pociągnąć musi za sobą wygłodzenie miast. Rzeczywistość jest wręcz odwrotna. Nie ulega wątpliwości, że całkowita wartość produkcji, uzyskiwanej z hektara, w gospodarstwach małych jest wyższa niż w średnich gospodarstwach chłopskich i w gospodarstwach wielko-chłopskich. Taki sam charakter malejący ma krzywa produkcyjności gospodarstw folwarcznych, z tem zapewne, że drobne gospodarstwa folwarczne mają nieco wyższy poziom od gospodarstw wielkochłopskich. To bardzo silne wzmaganie produkcyjności w gospodarstwach o mniejszym rozmiarze, wynika z nastawienia ich na kierunek hodowlany. Dzięki wzmożonej produkcyjności drobnych gospodarstw podaż rynkowa z hektara ziemi kształtuje się w różnych typach wielkości podobnie, jak rozmiary produkcji, jedynie różnice są tu mniejsze, bowiem wzrasta silnie spożycie wewnątrz samych gospodarstw. Z punktu widzenia rynku parcelacja, zmienia strukturę podaży, redukuje w pewnej mierze rynkową podaż zbóż, zwalniając tem samem od forsowania z konieczności stratnego eksportu, natomiast zwiększa wydatnie podaż innych artykułów, tych, które niewątpliwie stanowią najwłaściwszy kierunek produkcji dla kraju przeludnionego, dysponującego tanią pracą. Pod kątem kosztów produkcji w tym właśnie w ostatnich słowach zaznaczonym problemie, leży waga rozwoju gospodarstw drobnych, który wiedzie do zmniejszania nakładu kapitału w stosunku do nakładu pracy, a zatem prowadzi w kierunku, stosownym dla kraju, posiadającego nadmiar rąk roboczych, a niedobór kapitału. Bez wątpienia, dany obszar ziemi w rękach szeregu gospodarstw chłopskich daje wyższy efekt gospodarczy i wyższe wykorzystanie olbrzymiego wiejskiego rezerwuaru rąk do pracy, aniżeli gospodarka folwarczna o tym samym rozmiarze. Czy można w tych warunkach mówić o spadku kultury rolnej, pomimo, że niewątpliwie poziom kulturalny wsi polskiej daleko odbiega od tego, co widzimy w przodujących rolniczo krajach, jak Dania, Holandia, Szwajcaria. Te ostatnie kraje, nawiasem mówiąc, posiadają rekordowe odsetki gruntów włościańskich, czyli, że jakoś potrafiły pogodzić kwestię postępu w kulturze rolnej z brakiem gospodarstw folwarcznych. Pojęcie kultury rolnej jest czymś niesłychanie względnym. Okazuje się, że poprostu gospodarstwa folwarczne, panujące niewątpliwie lepiej nad techniką produkcji, ze względów strukturalnych nie są w możności wyzyskać w pełni wszystkich możliwości produkcyjnych, dostępnych dla warsztatu drobnego. Jasnym jest także, że o ile gospodarstwa chłopskie, jak to widzimy na przykładzie wymienionych poprzednio krajów, mogą dogonić, a nawet prześcignąć wielkie gospodarstwa pod względem kultury rolnej, o tyle niemożliwym jest dla gospodarstw wielkich wyrównanie czymkolwiek i kiedykolwiek tej przewagi, którą gospodarstwa chłopskie posiadają w postaci obfitości tanich rąk roboczych.

Małą własność cechuje nie tylko przewaga ogólnej intensywności, lecz również większa odporność na niekorzystne warunki rynkowe. Wiadomym jest z okresu wielkiej wojny, że np. w Rosji, gospodarstwa wielkie jako podstawa aprowizacyjna, zawiodły całkowicie, a oparciem żywnościowym kraju i armii były jedynie gospodarstwa mniejsze. Podobne zjawisko możnaby zapewne odnaleźć w ubogim zresztą materiale, dotyczącym stosunków polskich z okresu wojennego. Wystarczy zresztą, nie cofając się tak daleko, zanalizować reakcję gospodarstw różnego typu na ostatni kryzysowy spadek cen. Gospodarstwa wielkie, zorganizowane kapitalistycznie, zmierzające do wygospodarowania renty i oparte o nakład kapi-

tałowy przy cenach nierentownych nie są w stanie utrzymać poziomu produkcji, podczas gdy gospodarstwa drobne, oparte o posiadaną w nadmiarze pracę, i zmierzające niezależnie od warunków rynkowych do jak najpełniejszego spieniężenia tej pracy, potrafią nawet w najmniej korzystnych warunkach gospodarczych czynić wysiłki w kierunku intensyfikacji produkcji. Tendencyjny frazes, iż rozdrobnienie własności folwarcznej może osłabić bazę aprowizacyjną kraju na wypadek wojny, za kilka lat będzie się nam wydawać równie śmieszny, jak rozpowszechniona niegdyś obawa o wygłodzenie miast na skutek parcelacji.

Błędem byłoby rozważanie gospodarczych efektów reformy rolnej w płaszczyźnie czysto statycznej jedynie przez porównanie gospodarstw drobnych i wielkich. Bodajże ważniejsze jest to, iż reforma rolna w całokształcie wyzwala olbrzymią dynamikę drzemiąca w masach wiejskich, daje możność olbrzymiemu odsetkowi gospodarstw wiejskich dokonania chociażby najmniejszego kroku w przód. Idzie tu nie tylko o robotnika rolnego czy innego nabywcę działki z parcelacji. Słowem nie tylko o samodzielne gospodarstwa w tej drodze tworzone. Obok tej kategorii, która dzięki parcelacji zyskuje nowy samodzielny warsztat, zyskuje trwały punkt zaczepienia w walce o byt, z akcji agrarnej korzystają również ci, którym parcelacja zapewni upełnorolnienie, ci których gospodarstwa zostaną odciążone przez odpływ na tereny osadnictwa, i ci wreszcie, którzy dzięki scaleniu znajdują możność zastosowania bardziej planowej, bardziej racjonalnej organizacji gospodarstwa, przestają marnować siły na bezpłodną walkę z trudnościami, wynikającemi z szachownicy. Ogólna liczba rodzin wiejskich, które z jednej z form powyższych korzystały dotychczas z akcji agrarnej, wynosi około miliona rodzin. Jest to mniej więcej czwarta część istniejącej dziś liczby samodzielnych gospodarstw wiejskich w Polsce. Zatem dla mniej więcej czwartej części gospodarstw włościańskich akcja agrarna stanowiła bodziec o różnej skali i różnym znaczeniu, ale zawsze popychający w przód, stwarzający nowe możliwości i nowe nadzieje. Pod tym kątem stwierdzić należy, że akcja agrarna nie ma równej sobie pod względem znaczenia w żadnej dziedzinie życia społecznego i gospodarczego.

Powyższe rozważania dotyczące skutków gospodarczych rozwoju drobnej własności rolnej przy współdziałaniu państwowej akcji agrarnej nie wyczerpują całości problemu, pomijając zagadnienia takie, jak sprawa tworzenia masowego i jednorodnego rynku zbytu dla krajowej produkcji przemysłowej, jak kwestia likwidacji warsztatów przedłużonych, i t. p. Pomimo tej niekompletności rozważania powyższe pozwalają twierdzić, że w akcji agrarnej mamy prawo widzieć akcję, która zapewnia zarówno wzrost dochodu społecznego wsi, jak równomierniejszy jego podział. Tem samem akcja ta może i musi być uważana za jeden ze środków walki z podstawową klęską życia gospodarczego Polski — z przeludnieniem rolniczym. Szczególnie jaskrawy wyraz oddziaływanie reformy rolnej w tym właśnie kierunku znajduje wtedy, kiedy mamy do czynienia z osadnictwem, przenoszącym ludność z terenów o największym zagęszczeniu rolniczym, na tereny takie, jak woj. zachodnie, gdzie gęstość ludności rolniczej jest dwukrotnie mniejsza od polskiej przeciętnej, a trzykrotnie mniejsza niż w województwach o największym zagęszczeniu. Oczywiście, że łagodzenie przeludnienia nie ogranicza się do wyżej wymienionego wypadku. Obszar folwarczny daje zawsze na skutek mechanizacji z jednej, a mniejszego rozwoju hodowli z drugiej strony, mniejsze zagęszczenie ludności rolniczej, aniżeli wieś w analogicznych warunkach położona. Jeśli pojmować będziemy przeludnienie nie w czysto demograficznym sensie, jako wysoką cyfrę zagęszczenia ludności rolniczej na danym terenie, lecz będziemy szukali dla przeludnienia miary opartej o czynnik nasilenia produkcji, staje się jasnem, że skoro wydajność z hektara w gospodarstwach drobnych rośnie, to tem samem akcja agrarna jest zawsze, w każdym wypadku środkiem, potężnie przeludnienie łagodzącym.

Trudno byłoby szukać liczbowej miary osiągniętych w tym kierunku wyników. Stwierdzić natomiast należy, że jakkolwiek wielką wagę przywiązywać należy do przeludnienia, to byłoby błędem mniemać, że może ono uczynić zbędnem poszukiwanie środków zaradczych w obrębie samej wsi. W Polsce niepodległej rozwój przemysłu i związane z tem postępy urbanizacji zdołały wchłonąć zapewne mniej niż połowę przyrostu naturalnego wsi. Przy tem dzisiaj, w obecnej fazie koniunktury, miasta są same przeludnione, w sensie nadwyżki rąk roboczych, nie mających pracy. Wolno wprawdzie mniemać, że w dalszym biegu historii tempo urbanizacji ulegnie przyśpieszeniu. Aby jednak mogło pochłonąć całość przyrostu wiejskiego, musiałoby ono osiągnąć nasilenie bodajże nie spotykane na świecie. Prosty, byle sumienny rachunek wskazać musi każdemu, że niezależnie od postępów uprzemysłowienia troska o właściwsze ulokowanie nadwyżki ludności wiejskiej poprzez procesy agrarne prawdopodobnie przez spory jeszcze szereg lat będzie nie tylko aktualna, lecz wręcz paląca.

Reasumując wywody dotychczasowe należy stwierdzić, że reforma jest niczem innem, jak szukaniem na odcinku wiejskim nowych form ustroju agrarnego dostosowanego do warunków „rzeczywistej rzeczywistości" polskiej. Jest to proces tego samego rzędu i typu, jak zrastanie się ze sobą trzech zaborów, jak wyrównywanie różnic psychicznych pomiędzy polakami wychowanymi w trzech różnych państwowościach, jak przebudowa przemysłu pod kątem nowych potrzeb rynku i t. d., i t. d. Reforma agrarna to poszukiwanie nowej osi dla życia polskiej wsi, osi zgodnej z warunkami obiektywnymi miejsca i czasu. Jest to konieczność, bo koniecznością jest przystosowanie się do tych warunków, i jest to jednocześnie krok na przód, bo daje podstawę do uzyskania większych efektów czysto gospodarczych i większego napięcia dynamicznego życia mas wiejskich. Już z tego względu nawet w płaszczyźnie czysto gospodarczych rozważań reforma rolna nie może być traktowana jako problem specjalny, zagadnienie interesujące tylko drobną własność, zagadnienie, na które reszta społeczeństwa spoglądać może z życzliwą obojętnością. Jako jedno z centralnych zagadnień przebudowy życia polskiego, urządzenia się we

własnej państwowości — reforma rolna jest problemem o znaczeniu ogólno - narodowym. Jest zadaniem, dla którego wolno i należy żądać zrozumienia i współdziałania najszerszych kręgów społeczeństwa.

Waga tego zagadnienia staje się tem oczywistsza, jeśli wykroczymy poza teren ściśle gospodarczy i zdamy sobie sprawę z tego, że jest ono również fragmentem organizacji Narodu i budowy Państwa na nowej, szerszej podstawie. Przebudowa agrarna uaktywnia masy chłopskie. Jak wspomnieliśmy wyżej, ¼ gospodarstw wiejskich doznała z tej strony bodźca. W życiu wsi poszczególne procesy gospodarcze i psychiczne splatają się ze sobą w nierozłączalny węzeł. Postęp gospodarczy, stworzenie poprzez przebudowę ustroju rolnego mocniejszej podstawy w walce o byt, to jednocześnie pchnięcie w kierunku postępu kulturalnego, stworzenie mocniejszej podstawy dla rozwoju świadomości społecznej i narodowej. I pod tym kątem właśnie szczególnie doniosłem jest, czy Państwo bierze świadomy, planowy, intensywny udział w przekształcaniu wsi na środowisko bardziej jednorodne, oparte o upowszechnienie własności i zniwelowanie krańcowych rozpiętości stanu posiadania. Jeśli bowiem proces ten przebiega bez udziału Państwa, to brak w nim nie tylko szeregu ważnych gospodarczo elementów, brak dostatecznej celowości w dysponowaniu ziemią, ale brak w nim także, a raczej przede wszystkim, momentu wychowawczego, w olbrzymiej mierze wpływającego na stosunek chłopa do własnej państwowości. Aktywny udział Państwa w przebudowie agrarnej to w przekonaniu mas wiejskich obowiązek państwowości w stosunku do własnego Narodu, którego trzonem poczuł się chłop z chwilą, kiedy wojna światowa upowszechniła świadomość narodową na wsi.

WŁADYSŁAW GRABSKI

PRZELUDNIENIE WSI I WIEJSKI PLAN INWESTYCYJNY

Zagadnienie przeludnienia wsi wyrobiło sobie w ostatnich latach miejsce pierwszorzędne w rzędzie trosk państwowych o naszą przyszłość gospodarczą. Plan inwestycyjny rozpatrywany jest obecnie z największą uwagą ze strony państwa ze względu również na tę naszą przyszłość. Ale te dwie sprawy nie znajdują punktów stycznych, choć każdy plan inwestycyjny o tyle będzie dobry o ile uczyni zadość łagodzeniu największych naszych niedomagań ustrojowych.

Wśród szeregu drobniejszych prac moich z czasów przedkryzysowych jedna napisana w 1928 najmniej znalazła echa choć poświęcona była tematowi inwestycyj wiejskich [1]). Pisana była w okresie realizowania pożyczek zagranicznych. Wystąpiłem w niej z tezą, że pożyczki zagraniczne użyte być powinny na inwestycje wiejskie. W tym celu projektowałem osobny Związek Celowy Samorządów Powiatowych. Dziś tematów ani pożyczek zagranicznych inwestycyjnych, ani Zw. Celowych Samorządów nie uważam za aktualne. Praktyczna treść mojej ówczesnej pracy nie jest na czasie. Ale znajduje się w niej podkład ogólny o ważności inwestycyj wiejskich ze względu na przeludnienie wsi. Odczytawszy te ustępy mojej pracy, widzę, że są one dziś jeszcze bardziej aktualne niż w 1928 i dziś może będą one dobrze zrozumiane. Wtedy przecież nie troszczono się tak bardzo o przeludnienie wsi jak obecnie, wtedy sprawy planu inwestycyj nie brano też tak planowo i poważnie. Dlatego też zdecydowałem się na to, by podać na nowo moje ówczesne wywody, skierowane ku wyświetleniu związku pomiędzy inwestycjami wiejskiemi a przeludnieniem wsi. Oczywiście, że ustępy mej pracy ówczesnej poddałem przeróbkom i dlatego nie podaję ich w cudzysłowie.

[1]) „Celowy Związek inwestycyjny samorządów powiatowych". 1928.

Inwestycje w zakresie wsi polskiej są potrzebą kraju, zadośćuczynienie której jest istotnym zagadnieniem naszego bytu państwowego.

Wieś polska jest przeludniona. Na jednostkę ludności rolniczej przypada w Polsce znacznie mniej produkcji rolnej niż w innych krajach europejskich, nie dlatego by plony, które są u nas niskie był najniższymi, bo są kraje o mniejszej kulturze, ale dlatego, że obok niskich plonów mamy przede wszystkim za dużo ludzi na wsi, tak że na jednostkę ludzką wyjątkowo mało wypada w Polsce wytworów jej pracy.

Ludność wiejska w Polsce nie znajduje w rolnictwie dostatecznych środków utrzymania i zaofiarowuje swoje ręce robocze, które ma w nadmiarze, szukając, kto by je mógł zatrudnić. Przed wojną Stany Zjednoczone z jednej strony, Prusy z drugiej, były tymi ogniskami warsztatów pracy, które potrzebowały tych rąk roboczych i szły one do tych krajów wielkim strumieniem. Było to dużą ulgą dla przeludnionej wsi polskiej. Dziś te źródła zatrudnienia nadmiaru naszej ludności odpadły. Inne źródła okazały się bardzo niedostateczne.

Nagromadziły się skutkiem tego we wsi polskiej wielkie liczby ludności, które nie znajdują dziś sposobów do życia.

Dla rozwiązania tego zagadnienia zostały dotychczas podjęte usiłowania w wielu kierunkach, które wszystkie nie dały dostatecznych rezultatów.

Zdawało się na początku, że Francja okaże się dość potężnym rynkiem pracy. Mamy duży co do tego i przykry zawód. Rzeczywistość wykazała, że jest to rynek bardzo ograniczony. Łotwa jest też rynkiem małym.

Zdawało się nam, że w krajach tropikalnych w Peru lub Angoli, znajdziemy warunki, by nie tylko dać ujście nadmiarowi ludności, ale jeszcze by móc siłami naszego ludu produkować niezbędne nam surowce zamorskie. Próby podjęte smutny przybrały obrót. Dziś znowu widzimy nowe tendencje, by rozpocząć poszukiwania nowych terenów kolonizacyjnych. Zapewne, że przykład Włoch i Abisynii może działać na różne umysły, szukające wyjścia z naszej niezmiernie trudnej sytuacji.

Należy jednak uświadomić sobie, że my nie posiadamy jeszcze warunków by podejmować się kolonizacji „pionierskiej". Cierpimy wszak na brak wolnych kapitałów własnych, zaś by zostać pionierem nie dość posiadać dobre po temu chęci. Potrzeba jeszcze trochę zapasu środków. Proletariat fizyczny czy umysłowy nie stanowi materiału pionierskiego. A jeżeli ma kto u nas własne środki, to najlepiej zrobi dla siebie i dla kraju, gdy je zastosuje na miejscu. Jeżeli istnieją dobre chęci do roli pionierstwa, a tylko brak kapitału, który by je zatrudnił, to jasnem jest, że byłoby wielkim marnotrawstwem wykładać własny kapitał publiczny polski na pracę pionierską jednostek poza Polską, gdy do takiej samej pracy w Polsce brak kapitału jest główną przeszkodą dla naszego rozwoju.

Rozwiązania trudności naszego położenia musimy szukać sami u siebie, na naszym własnym podwórku, w każdej przeludnionej wsi i w każdym powiecie o zbyt gęstej ludności. Mamy liczne przeludnione wsie polskie, bo mamy zbyt duży procent ludności, która tylko z rolnictwa żyje i tylko z tej pracy, lub z najmu rąk swoich żyć umie. Nie jesteśmy krajem w ogóle przeludnionym, ale w stosunku do gęstości ogólnej naszego zaludnienia, za duży procent przypada na rolnictwo, a za mały na inne zawody, w rolnictwie zaś za małą mamy wydajność w przeliczeniu na hektar, a co jeszcze gorsze, nadzwyczaj niską wydajność w przeliczeniu na jednostkę ludzką.

W pierwszych latach naszej państwowości istniały złudzenia, że przeprowadzenie reformy rolnej może zapobiec przeludnieniu wsi. Jasnem jest, że jeżeli parcelowany jest majątek i ludność małorolna dokupuje grunty, tak że staje się pełnorolną, to w danej wsi przeludnienie się zmniejsza. Ale czy zmniejsza się przeludnienie wsi w ogóle? Ażeby to mogło mieć miejsce musieliby wyjść ze wsi bezrolni, którzy pracowali na parcelowanej ziemi. Ale czy przy stale panującym bezrobociu w miastach jest to możliwe i czy to istotnie miewa miejsce? Ani trochę. Przy parcelacji rozrzedza się ludność sąsiednich wiosek, gdyż przez dokupno gruntu, ich terytorium się zwiększa. Jednocześnie zaś zagęszcza się zaludnienie rolnicze na reszcie parcelowanego majątku, oraz zagęszcza ono się również tam, dokąd udają się bezrolni, którzy poprzednio pracowali na całości i którzy nie kupili gruntu przy parcelacji.

Nie powiem, by parcelacja nie miała dodatniego znaczenia ze stanowiska potrzeb populacyjnych kraju. Znaczenie to dodatnie polega na tem, że na skutek parcelacji zbytnie zagęszczenie się ludności w pewnych ośrodkach zostaje rozprowadzonem po innych. Jest to proces oddziaływujący łagodząco na bolesne przejawy przeludnienia. Ale zasadniczo skutkiem parcelacji nie zmienia się tego stanu rzeczy, że w całym naszym kraju, biorąc pod uwagę i gęsto zaludnione wsie i słabiej zaludnione folwarki, wypada na hektar ziemi o wiele za dużo osób żyjących z rolnictwa, a na każdego człowieka, czy to gospodarza czy robotnika, za mało wytworów jego pracy.

Dla wyjścia z tej sytuacji, będącej wynikiem przeludnienia, niektórzy znajdują tylko jeden sposób: przestać się rozmnażać. Już dziś stopa przyrostu ludności w Polsce słabnie. Wiadomo, że przyrostu ludności w XVII i XVIII wieku nie mieliśmy żadnego. Wtedy Francja i Prusy rozmnażały się najsilniej. To też one rosły w potęgę, a myśmy upadali.

Zapewne, że jeżeli żadne inne rozwiązanie naszych trudności się nie znajdzie, to naszemu ludowi nie pozostanie nic innego jak przestać się rozmnażać. Bieda nie przeszkadza rozmnażaniu się, ale tylko do pewnych granic. Gdy jest ona wielką i beznadziejną, tak jak to było u nas na wsi w XVII i XVIII wieku, lud się nie mnoży, zakłada rodziny późno, dzieci wychowuje tak niedbale, że giną wcześnie i licznie. Czyż tego właśnie mamy się doczekać w Polsce obecnej!

Zapewne, że przestają się rozmnażać również i takie masy ludowe, które osiągają pewien stopień dobrobytu i chcą zabezpieczyć je dla swego potomstwa wstrzymywaniem się od licznego jego przyrostu. Widzimy to we Francji, a po części w różnych innych krajach. Ale do tego w Polsce jest bardzo daleko. Ażeby taka wstrzemięźliwość znalazła szersze zastosowanie koniecznem jest, by szerokie warstwy ludności osiągnęły wysoki stopień dobrobytu, tak by dążyły one świadomie do zakonserwowania tego stopnia dla swego potomstwa, unikając jego liczebności.

Dla naszego przeludnienia rolniczego i dla naszego znacznego przyrostu ludności nie okażą się pomocne ani nowe projekty emigracyjne, ani reforma agrarna, ani hasło powstrzymania przyrostu naturalnego ludności.

Przyrost i nadmiar ludności na wsi będą wzrastały, a niezadowolenie z ciężkich warunków egzystencji również będzie się potęgowało. Ażeby to nie miało skutków zgubnych jest tylko jeden sposób: poważna praca nad szybkim podniesieniem całej struktury naszego życia ekonomicznego wzwyż do stanu kultury gospodarczej właściwej tym narodom, które nie wiedzą, co to przeludnienie, choć mają gęstszą od nas ludność i które nie przestają pomimo to się rozmnażać.

Dorównać w kulturze materialnej Zachodowi, to nakaz dla nas życia i śmierci. Nakaz ten stosuje się zarówno do miast, jak i do wsi. Ale na wsi ta różnica kultur naszej i zachodniej, jest jeszcze silniejszą niż w miastach.

Kulturę tę i dobrobyt podnieść można tylko wszechstronną pracą nad jej systematycznym krzewieniem za pomocą wszystkich środków dostępnych dla akcji rządu, samorządu i społeczeństwa. Podnie-

sienie oświaty ogólnej i powszechne poważne rozpowszechnienie wiedzy rolniczej, udostępnienie wszelkich środków postępu techniki produkcji rolnej wraz z akcją usuwającą realne przeszkody na drodze do tego postępu, wyrażające się w braku linii kolejowych, szos, w istnieniu szachownicy i w braku melioracji, są to środki zmierzające do tego, by w obliczeniu na hektar czy na jednostkę pracy ludzkiej polska wieś stanęła na równi ze wsią czeską, a blisko niemieckiej lub duńskiej.

Jeżeli jasnem jest, że za pomocą wiedzy i środków technicznych można dokonać wielkich przemian w wydajności pracy, to powstaje pytanie, w jaki sposób może to wpłynąć na złagodzenie ujemnych skutków przeludnienia.

Wszelkie podniesienie wydajności pracy rolniczej wpływa na zmniejszenie dolegliwości społecznych, płynących z przeludnienia w dwojaki sposób, jeden bezpośredni, drugi pośredni. Przede wszystkim podniesienie produkcyjności pracy rolniczej daje na każdą jednostkę ludności rolniczej większą sumę wytworów, czyli zmniejsza dysproporcję pomiędzy ilością ludności a wydajnością danego terytorium. Takie zwiększenie wydajności pracy działa prócz tego znakomicie na zmniejszenie przeludnienia rolniczego również w sposób pośredni, a to skutkiem tego, że podniesienie wydajności pracy rolniczej jest możliwem tylko o tyle, o ile obok posiadania wzmożonej wiedzy rolnik używać będzie więcej środków służących do produkcji, więcej maszyn, narzędzi, żelaza do ich konserwowania, więcej nawozów sztucznych, więcej materiałów wszelkiego rodzaju, więcej też i lepiej będzie budował, lepiej się ubierał na codzień, by być sprawniejszym w pracy. Wszystko to wyraża się w tem, że postęp rolniczy z konieczności prowadzi do uprzemysłowienia kraju, który pochłania wtedy naturalny przyrost ludności rolniczej. W krajach o wysokim poziomie rolnictwa, o wysokich plonach i wyborowej hodowli znaczny procent ludności zajęty jest w przemyśle, rzemiośle i handlu i przeludnienia rolniczego nie ma tam wcale.

Póki będziemy krajem, w którym na jednostkę ludności rolniczej przypada najmniejsza ilość wyprodukowanego zboża czy mięsa, jak to jest obecnie, póty przeludnienie rolnicze niczem się nie da usunąć, ani emigracją, ani reformą agrarną. Podniesienie zaś tej wydajności daje zupełnie pewny i niezawodny sposób na nasze główne niedomagania ekonomiczne, zarówno na wsi, jak w miastach. Na tym środku jeszcze żadne społeczeństwo się nie zawiodło. Idzie tylko o to, by umieć go zastosować powszechnie i skutecznie.

Jeżeli świadomi jesteśmy wielkiej wagi tego, żeby podnieść wydajność wsi polskiej, to należy uznać konieczność obmyślenia i szerokiego stosowania wszystkich potrzebnych w tym celu środków. Środki te dają się ułożyć w dwa szeregi: jedne to oddziaływanie na ludzi, danie im potrzebnych wiadomości, wyrobienie w nich sposobu myślenia i usposobienia woli tak, by stali się oni dzielniejszym czynnikiem produkcji niż obecnie. Wiemy jak wielką rolę odgrywa wśród różnych społeczeństw stopień ich uzdolnień w zakresie życia gospodarczego. Dlatego też wszystko co zmierza do tego, by lud nasz oświecić i wzbudzić w nim dążenie i uzdolnienie do ulepszenia swoich metod pracy, ma pierwszorzędne znaczenie.

Drugi szereg środków oddziaływania na kulturę wsi i wydajność tej pracy jest to tworzenie materialnych podstaw dla wzmożonej energii i pracy ludzkiej, a więc wszystko to co ulepsza same środki techniczne produkcji, narzędzia i nawozy, stan komunikacji, budownictwa, położenia gruntów (usunięcie szachownic) i melioracji.

W tym drugim szeregu środków bardzo aktualną sprawą staje się obecnie akcja zwaną inwestycyjną.

Akcja inwestycyjna na wsi, w poprzednich latach prowadzona, doznała silnego załamania po części nawet zdyskredytowania, pomimo że nigdy większej skali nie osiągnęła. Samorządy nie mogą się poszczycić ani nadmiarem dróg dobrych, ani nadmiarem pięknych gmachów publicznych. Wsie włościańskie do dziś dnia stoją ogromnie w tyle po za folwarkami co do drenowania, a jednak spółki wodne drenarskie są wśród włościan gruntownie pozbawione wszelkiej opinii, a przeciwko akcji inwestycyjnej samorządów jest zgodne usposobienie ogółu społeczeństwa, podzielane przez władze. Dlaczego tak się stało, czy dlatego że samorząd inwestować nie powinien, a ludność wiejska nie powinna zawiązywać spółek w celach melioracyjnych? Ani trochę; i jedno i drugie jest niezbędne. Ale grunty włościańskie w latach 1925 — 1930 były drenowane przy zbyt wysokich kosztach, spółki nie miały należytego nadzoru finansowego a różne inwestycje publiczne samorządowe nie były dostatecznie przemyślane i często stawały się niepotrzebnym szafowaniem groszem publicznym na cele mniej niezbędne. Zrażać się temi niepowodzeniami nie należy. Uczyć muszą one rozumu, by w inwestycjach postępować oględnie i planowo.

O planowości w inwestycjach wiejskich pomówimy osobno.

KAZIMIERZ BRODNICKI

UWAGI O HANDLU

Handel wewnętrzny w Polsce wymaga gruntownej i głęboko sięgającej reformy, której wykonanie obarczyć powinno przede wszystkim sam handel, działający wspólnie z państwem.

1. Pisząc w Polsce o handlu, trzeba zaczynać od definicji tego pojęcia, a i potem często-gęsto sypać truizmami. Jest to bowiem dziedzina, w której zalęgło się — jeśli chodzi o t. zw. opinię publiczną — bardzo wiele nieporozumień i pretensyj.

Zadaniem handlu jest, krótko mówiąc, przeniesienie towaru od wytwórcy do spożywcy, poczem towar w trakcie tych przenosin staje się własnością przenoszącego. Pośrednictwo nie jest zjawiskiem prostym i łatwym, wymaga bowiem specjalnych umiejętności, kapitału i urządzeń technicznych. Jego funkcją jest przeniesienie towaru w czasie oraz w przestrzeni (z miejsca na miejsce), koncentracja zapotrzebowania, rozdział towaru i podniesienie jego jakości; niekiedy do funkcyj tych wypada zaliczyć kredytowanie (finansowanie) producenta. Wyrażając się językiem prostym, mówimy, że rolnik, fabrykant lub rzemieślnik powinien przygotować towar do obrotu (t. zn. go poprostu wyprodukować), rolą zaś kupca będzie dokonanie, zorganizowanie rozdziału towaru pomiędzy konsumentów. Aby zorganizować dystrybucję, trzeba wykonać te wszystkie czynności, które wchodzą w zakres pojęcia: handel, a do których wrócimy w dalszych wywodach nin. artykułu.

2. T. zw. opinia publiczna umieściła, jak się zdaje, handel na czarnej liście. Ile w tem winy specyficznego układu sił narodowościowych w handlu, ile reminiscencyj z epoki dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, ile echa niezapomnianego jeszcze okresu wojny i głodu towarowego, ile — wreszcie — wpływu naszego niewyrobienia gospodarczego — rozstrzygnąć trudno. Nie wchodząc (dla uproszczenia) w wyjaśnienia przyczyn omawianego zjawiska, stwierdzić należy powszechną niechęć i nieufność do handlu. Stąd też, zapewne, płyną fałszywe oceny i fałszywe wnioski.

Mówi się np. o nadmiernym pośrednictwie w Polsce. Czy jednak w rzeczywistości możemy twierdzić o nadmiarze ludzi, zajmujących się handlem? Raczej dzieje się na odwrót, bo odsetek zawodowo czynnych w handlu jest w Polsce niższy, aniżeli w całym szeregu krajów europejskich i w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Tłem podobnie błędnych poglądów musi być co innego: wadliwa *struktura* naszego pośrednictwa i *jakość* spełnianych przezeń funkcyj. Nie to ma znaczenie, ilu mamy pośredników (im bardziej bogata konstrukcja życia gospodarczego, tem więcej ogniw czy instancyj, zajętych w dystrybucji towaru), ale to co oni kosztują, albo — jeszcze lepiej — co wzamian za swe wynagrodzenie dają społeczeństwu. W społeczeństwach, stojących na wysokim szczeblu rozwoju materialnego, cena towaru i odsetek zawartego w niej zysku pośrednika stanowią zagadnienie znacznie mniej atrakcyjne od problemu jakości towaru, punktualności i stałości dostawy etc. Lichy towar, dostarczony przez sprzedawcę, zadawalającego się mizernym zarobkiem, jest w gruncie rzeczy droższy od towaru wartościowego, na którym sprzedawca zarobił dobrze.

Opinia publiczna w Polsce jest na ogół krótkowzroczna i niesprawiedliwa. Dla przeciętnego czytelnika przeciętnej gazety każda giełda utożsamia się z „czarną" giełdą, każdy pośrednik z „paskarzem", każda tranzakcja handlowa ze „szwindlem", każda zwyżka cen z „rabunkiem" czy „złodziejstwem". Jeżeli, nie daj Boże, chleb podrożeje z 30 na 34 grosze za 1 kg, to te 4 grosze urastają do znaczenia niewspółmiernie szerokiego, podczas gdy w rzeczywistości grają one w budżecie robotniczym rolę minimalną (przy 1,5 kg dziennego spożycia chleba na rodzinę daje to różnicę 6 groszy dziennie), w budżecie urzędniczym zaś — niemal równą zeru (przy 1 kg konsumcji dziennie różnica wynosi 4 grosze).

Handel w Polsce nie jest nadmiernie rozbudowany, ale jego konstrukcja pozostawia b. dużo do życzenia. Uderza przede wszystkim niesłychana słabość hurtu, co bynajmniej nie przeszkadza wyzyskiwaniu sytuacji przez nielicznych hurtowników - monopolistów w niektórych branżach lub artykułach. Tak np. w dniu 1.III.1932 r. na 301.183 przedsiębiorstwa handlowe sensu stricto (a więc bez aptek, banków, ubezpieczeń, jadłodajni i t. p.) było zaledwie 304 (czyli 0,1%) przedsiębiorstw I kategorii (hurt wielki). Z tych 304 „żubrów" 58 zaliczało się do skupu zawodowego, 42 — do kupców, handlujących artykułami budowlanymi i opałem, 31 — do kupców z branży żelaznej, 24 — do sprzedawców manufaktury, 24 — do grupy handlu spożywczego i t. d. Co ciekawsze, przeszło ⅓, bo 107 firm, miało siedzibę w Warszawie, 34 — w Katowicach, 21 — w Poznaniu, 20 — w Łodzi, 16 — w Krakowie, 16 — w pozostałych miastach woj. Śląskiego, 15 — we Lwowie etc., a zatem znaczna większość firm handlowych I kat. należała do Polski „A", do miast wielkich w szczególności. Łącznie z pewną częścią przedsiębiorstw, wykupujących świadectwa handlowe II kat., hurtownicy stanowią w Polsce grupę, liczącą max. 10.000 przedsiębiorstw, a więc ok. 3% ogólnej ilości firm handlowych, płacących podatek obrotowy. Zjawisko słabości hurtu jest tem groźniejsze, że jeszcze w dobie „prosperity" zauważono ilościowe zmniejszanie się przedsiębiorstw handlu hurtowego, co dało się tłumaczyć niedostatkiem kapitału obrotowego, ale w silniejszym stopniu było wynikiem... niepodległości. W Polsce przedwojennej znaczna ilość wielkich przedsiębiorstw handlowych należała do kapitału obcego, związanego z zaborcami, zwłaszcza Niemcami, przy czem pracowały one niejednokrotnie jako filie przedsiębiorstw zagranicznych.

3. Aczkolwiek rola hurtu jest u nas niewspółmiernie mała i wykazuje lekką degresję na tle całego handlu, nie można powiedzieć, by sytuacja handlu miała być specjalnie zła. W okresie 1928 — 1935 liczba upadłości firm przemysłowych stanowiła 0,68%,

handlowych natomiast 0,55% przeciętnej ilości przedsiębiorstw, posiadających świadectwa przemysłowe, co by dowodziło większej odporności handlu aniżeli przemysłu. Nie jest również trafne mniemanie, że handel w Polsce jest wyciskany z obiegu, usuwany poza nawias przez państwo, producentów i konsumentów. Monopole państwowe, podyktowane względami budżetowymi, handlu nie eliminują, posługują się bowiem kupcem prywatnym przy dystrybucji soli, wyrobów tytoniowych lub spirytusu. Sklepy fabryczne niektórych przedsiębiorstw przemysłowych grają rolę tylko w nielicznych artykułach (obuwie „Baty", wyroby cukiernicze Wedla i t. d.), są zresztą częściowo zrównoważone faktem prowadzenia przez spółdzielczość spożywczą (która też jest kupcem) szeregu zakładów fabrycznych, a przecież system chałupniczy (nakładczy) jest też potężną bronią kupca, występującego w roli wytwórcy. Co się zaś tyczy konkurencji ze strony spółdzielczości, to tylko źle rozumiane względy taktyczne kazały handlowi patrzeć na nią, „złym okiem", skoro już dzisiaj sam handel bierze się do zakładania... spółdzielni kupieckich. Spółdzielczość producentów lub spożywców jest skądinąd niczem innem, jak korekturą, dzwonkiem alarmowym handlu prywatnego, który zaniedbał swe obowiązki w kierunku usprawnienia i potanienia oddawanych przez siebie usług.

4. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że utyskiwania opinii publicznej na handel zawierają w sobie pewną dozę prawdy i słuszności. Taka np. rozpiętość cen, płaconych producentowi, i cen, uzyskiwanych od konsumenta, musi być nie raz irytująca. Należy tylko zdać sobie sprawę z przyczyn tego stanu rzeczy, aby wiedzieć, kto i za co odpowiada i gdzie można szukać wyjścia. Weźmy przykładowo rynek mięsny, przedstawiający wartość jakoby 700 milionów zł rocznie. Na rozpiętość cen rynku mięsnego, na niski poziom cen, otrzymywanych przez rolnika etc. wpływa z jednej strony niechęć, nieufność i niezaradność rolnika, jeśli chodzi o możliwości zorganizowania go do walki z wyzyskiem, z drugiej zaś — brak odpowiednio postawionej wymiany. Rolnik, zwłaszcza drobny, jest niezaradny, czego dowodem, że na terenie województw zachodnich poza spółdzielniami niemieckiemi nie ma dotychczas ani jednej spółdzielni zbytu inwentarza. Rolnik jest nieufny, bo się na spółdzielczości handlowej mocno sparzył i teraz na zimne dmucha. Rolnik nie posiada kapitału, tymczasem kupiec jaki jest taki jest, ale kredytem służy mu w każdej chwili. Co się zaś tyczy niedomagań aparatu wymiany, to gdy nie ma kupców — fachowców (zgonnicy, faktorzy i t. p. agenci są kiepskim materiałem na fachowe kupiectwo), gdy targi odbywają się zbyt często, są drobne i nieunormowane, gdy opłaty targowiskowe i rzeźniane są za wysokie, gdy daje się we znaki niedostatek chłodni, stajni spędowych, ramp wyładowczych i załadowczych etc., gdy wreszcie publiczne notowania cen należą do rzadkości — handel *musi* chromać i swym kalectwem ciążyć na rentowności produkcji rolniczej. Dużo, coprawda, zrobiono w ostatnich czasach, aby nieuzasadnioną rozpiętość cen zmniejszyć [1]), ale jeszcze nie wszystko jest w tym względzie tak, jak być powinno, t. zn. kupiecka marża zysku powiększona jest o dodatkowe a zbędne czynniki, z kosztami ryzyka za zły handel na czele.

5. Aby wymiana stała na wysokości zadania, „aby handel szedł"... dobrze, musi być spełniony cały szereg, bynajmniej nie łatwych, warunków. A zatem musi istnieć dostateczna sieć komunikacyjna, środki komunikacyjne powinny być tanie, handel musi mieć pod ręką urządzenia pomocnicze o charakterze organizacyjnym (np. giełdy) i technicznym (np. chłodnie), przepisy prawne muszą dbać o mniej więcej równe warunki współzawodnictwa (zwalczanie nieuczciwej konkurencji), podatki powinny być skonstruowane logicznie i celowo, kupiectwo powinno korzystać z kredytu bankowego, organizacje kupieckie powinny wywierać wpływ na swych członków, kupcy muszą posiadać znajomość swego fachu etc. Skoro zadaniem handlu jest przenoszenie towaru w przestrzeni, należy rozbudować i potanić środki komunikacji; jeśli handel ma przenosić towar w czasie — trzeba mu dać inwestycje typu magazynu lub chłodni; gdy wiemy, że handel zbiera i rozdziela towar, to musimy pamiętać o giełdach, aukcjach, targach, wystawach i t. p., a także o koncentracji handlu (spółdzielczość producentów, spożywców lub samych kupców); podnoszenie jakości towaru wymaga standaryzacji, klasyfikacji i t. p.; tanie kredytowanie producenta przez handel opiera się o instytucję ubezpieczenia od ryzyka (np. w handlu żywcem), o warrant, domy składowe i t. d.

Zdrowy handel żąda istnienia całego szeregu urządzeń pomocniczych, jako to: pokazy, targi, wystawy, jarmarki, muzea handlowe, wzorownie, aukcje, giełdy, agentury, przedstawicielstwa etc. Odwrotnie biorąc, prawidłowe funkcjonowanie takiej, dajmy na to, giełdy wymaga obecności rozwiniętego handlu, bo prymitywnemu faktorowi giełda nie jest potrzebna.

Zorganizowana podaż opiera się z kolei o jej skoncentrowanie, o klasyfikację, standaryzację i selekcję towaru, o jawność handlu(giełdy, aukcje), o stałość i ciągłość stosunków handlowych i t. p. Aby towar mógł być zmasowany, trzeba stworzyć jednolite normy jego podziału i gatunkowania, zapewnić obfite i tanie środki komunikacyjne, stworzyć właściwe urządzenia techniczne i pomocnicze (gdzie nie ma chłodni, ceny są nieustabilizowane a ryzyko nadmiernie wysokie) etc.

Obowiązuje przeto *paralelizm* metod formowania zdrowej, pożytecznej wymiany.

6. Kwestią, która od czasu do czasu powraca na łamy polskich pism kupieckich, jest sprawa cenzusu w handlu [2]). Ostatnio wypłynęła ona na Międzynarodowym Kongresie Związków Detalistów Handlu Spożywczego, odbytym w sierpniu b. r. w Hamburgu, gdzie propagowano ideę kupieckiego dowodu uzdolnienia bądź w imię obrony słabszego przed silniejszym, bądź dla podniesienia poziomu fachowego niższych sfer kupieckich, bądź też w celu reglamentowania ilości handlujących. System dowodu uzdolnienia zaprowadziły u siebie Rzesza Niem. i Austria, w zwężonym zakresie Szwajcarja — i na tem koniec. We Włoszech już się tylko licencjonuje zakładanie przedsiębiorstw handlowych, uzależniając to od od-

[1]) W 1928 r. rozpiętość pomiędzy ceną 100 kg mięsa wołowego i ceną takiejże ilości żywca wynosiła zgórą 100 zł, w 1931 r. zmalała do 80 zł, a w latach 1932 — 1935 waha się od 40 do 50 zł.

[2]) Zob. „Gospodarka Narodowa" Nr 20 z 15.X.1935 r.

powiednich kwalifikacyj petenta i od gwarancyj gospodarczych, jakich on może dostarczyć. W naszych polskich warunkach, kiedy chłop — słusznie czy niesłusznie — usiłuje zdobyć „prawo do straganu“, kiedy praktykę kupiecką Polaka w żydowskim przedsiębiorstwie handlowym (i vice versa) trudno sobie wyobrazić [3]) i kiedy nasi detaliści nie są, jak we Włoszech, zgrupowani *bez reszty* w korporacjach, regulujących np. sprawę jednolitych cen — naśladowanie kilku państw środka Europy nie wydaje się w pełni uzasadnione. Z tem większym naciskiem należy się za to wypowiedzieć za prowadzeniem fachowych kursów tak dla młodego, jak i dla starszego kupiectwa, kursów, zdolnych wprowadzić nowoczesne metody handlowe do naszego anachronistycznego prymitywu.

Cenzus cenzusem, ale *kultura kupiecka* — kulturą kupiecką. Nauczyć się z podręcznika nie jest rzeczą trudną, ale być kupcem „z krwi i kości“ należy chyba do najtrudniejszych zadań, jakie przed nami stoją. Nasz pośrednik jest drogi i mało pożyteczny jeszcze i z tego powodu, że ryzyko, płynące ze zdezorganizowanego, zanarchizowanego rynku i płynności stosunków handlowych, musi być duże, płynność tę zawdzięczamy zaś niedostatkowi tradycji kupieckiej, zwyczajów handlowych i — last not least — *etyki* kupieckiej. Handel (i potęga) Anglii czy Holandii stoi m. in. na tradycji i etyce, albo — jeszcze lepiej — na tradycyjnej etyce tamt. kupców. Dlatego też w Anglii i Holandii jest mniej krzyku z powodu „nadmiaru zbędnego pośrednictwa“, ale za to więcej — spółdzielni [4]).

7. Handel w Polsce niedomaga, kuleje i kwęka. Brak mu całego szeregu urządzeń, których nie wytworzył sam z siebie (w interesie prymitywnego kupca nie leży ani jawność, ani zorganizowanie wymiany), które więc musi inicjować państwo. Wobec słabości polskiego korporacjonizmu kupieckiego inicjatywa publiczna bierze na swe barki tworzenie giełd, powoływanie komisyj notowań, organizowanie aukcyj i t. p. Gorzej jest z inwestycjami, niezbędnemi dla usprawnienia obrotu towarowego. W zasadzie inwestować w dziedzinie urządzeń, służących wymianie, powinien kupiec, tak jak w dziedzinie urządzeń, niezbędnych dla produkcji rolnej — rolnik. Ale w praktyce nie inwestuje ani jeden, ani drugi, bo albo nie mają pieniędzy, albo wiedzy fachowej, albo zmysłu organizacyjnego, albo po prostu—inicjatywy. Handel nie inwestuje, chyba, że chodzi o duże firmy (i to nie wszystkie), ale i one czynią to niechętnie, bo nie chcą brać na siebie ryzyka konkurencji z masą prymitywnych handlarzy, obywających się bez chłodni czy elewatora i żyjących z dnia na dzień. Możnaby, zapewne, obowiązkiem inwestowania obarczyć dobrowolne czy przymusowe (te ostatnie dotychczas nie istnieją) korporacje kupieckie lub udzielać koncesyj handlowych (w prawie przemysłowym nie przewidzianych) pod warunkiem dokonania inwestycyj. Ponieważ się tego nie robi, a życie nie czeka, więc państwo lub gmina buduje, jak się da i za ile się da, chłodnie (Gdynia i Warszawa), rzeźnie, targowiska (większość z nich — pożal się, Boże!), przechowalnie, elewatory, stajnie spędowe, rampy załadowcze i wyładowcze etc.

8. Tak czy inaczej zawsze musi powstać pytanie: w imię kogo lub czego czynnik publiczny organizuje czy usiłuje organizować rynek? Unowocześnienie handlu nie wypływa z łona samego kupiectwa, jego zrzeszeń i jego samorządu, bo dążenie to rodzi się najczęściej przy biurkach ministerialnych, których zapewne jest zbyt wiele, jeśli chodzi o planową i jednolitą politykę handlową, ale nie w tem leży zło największe. Polityce handlowej brak, jak się zdaje, oparcia o sam handel, co jest chyba winą handlu, a nie urzędów publicznych.

W stosunkach pomiędzy handlem a państwem wytworzył się pogląd, że państwo poucza kupców, co powinni robić, aby handel przestał być drogim a mało użytecznym pachciarstwem, kupcy zaś domagają się od państwa niższych podatków i — swobody wymiany. Niewątpliwie, prawidłowy rozwój handlu wymaga wolności gospodarczej tak wewnątrz kraju, jak i we współpracy z innymi krajami; wszelkie kartele, monopole, cła prohibicyjne, reglamentacje celne i inne okropności szkodzą normalnemu rozwojowi handlu, a sprzyjają istnieniu „hochsztaplerów“ i t. p. „niebieskich ptaków“, co to „nie sieją, nie orzą“, a... pozwolenia przywozu mają i — sprzedają. Niewątpliwie, kontyngentowanie importu dezorganizuje rynek wewnętrzny, a rola handlu musi się kurczyć, bo naturalnym odruchem preferuje się przemysł przed handlem, aby ten ostatni nie wykorzystywał (w surowcach) ciasnoty towarowej i nie podbijał cen artykułów, którymi tylko pośredniczy. Mimo to nie można kwestii wolności czy reglamentacji handlu wewnętrznego utożsamiać z kwestią wolnej czy reglamentowanej wymiany z zagranicą, jako że ta wymiana i tak stanowi względnie skromny odsetek handlu krajowego. Nie można tak czynić jeszcze i z tego powodu, że wolne współzawodnictwo ma swe największe racje przede wszystkim w warunkach istnienia handlu zorganizowanego, bo na rynku niezdyscyplinowanym, zanarchizowanym wolna konkurencja przemienia się najczęściej w wyzysk słabszego przez silniejszego, a instytucja „chazuki“ daje w ręce „szarych eminencyj“ handlu wszechwładne panowanie nad rynkiem, rzekomo swobodnym i niereglamentowanym.

Im mniej — jeśli taka wola — ma mieć do powiedzenia państwo w sprawach handlowych, tem więcej należy spodziewać się od samego handlu i jego organizacyj. Nie można żądać zbyt wiele lub zbyt prędkich efektów, ale oczekiwać inicjatywy można i — należy. Rolą państwa jest tej inicjatywie dopomóc lub nią pokierować.

---

[3]) Jest rzeczą równie uderzającą, co smutną, że spośród wychowańców polskich wyższych szkół handlowych do handlu garnie się tylko b. drobna cząstka, reszta zaś zasila urzędy publiczne.

[4]) Na Zachodzie, gdzie poziom urzędów skarbowych stoi wyżej, niż w Polsce, nie ma tak częstych, jak u nas, wypadków dyskwalifikowania o byle co ksiąg handlowych, których prowadzenie znamionuje prawdziwego kupca.

UWAGI

CENY... CENY...

Przeciętny czytelnik polskich gazet, o ile nie jest wytrawnym ekonomistą a chce przecież zrozumieć rzeczywistość gospodarczą dnia dzisiejszego, może z powodzeniem rwać włosy z głowy i złorzeczyć drukowanemu słowu w najwymyślniejszy sposób... Zrozumieć z tego wszystkiego żaden „szary" ani nawet bardziej barwny człowiek nic nie jest w stanie. Bo jakże? Przez sześć lat kryzysu kładziono mu w głowę łopatą, że alfą i omegą są w Polsce ceny produktów rolnych, że z uwagi na spadek tych cen dochód społeczny w rolnictwie równa się niewiele co więcej ponad zero, że naskutek tego pozbawieni jesteśmy rynku zbytu wewnątrz kraju, że wskutek tego powstaje kryzys przemysłu, bezrobocie — i wszyskie pozostałe klęski z tem związanie. Dziś, gdy ceny rolnicze wyraźnie poszły w górę i zaledwie przebrzmiały triumfalne okrzyki o „końcu kryzysu", o tem, że „hat der Bauer Geld hat's die ganze Welt", a już zaczyna się ten wzrost cen gnębić i składać za nie winę — na nieuzasadnione pośrednictwo... Jak to jedno z drugim pogodzić — jak to, krótko mówiąc, w jakiś sensowny sposób wytłomaczyć?

Wytłomaczenie tego bynajmniej nie jest takie proste — tak, jak bynajmniej nie jest prostą sytuacja gospodarcza, w jakiej znalazła się Polska w chwili obecnej. Ludzie, którzy krzyczą „dewaluacja...", czują to niewątpliwie i uważają, iż właśnie obniżenie wartości pieniądza powinnoby „jakoś" ten skomplikowany stan wyjaśnić. Mamy, osobiście, niesłychane wątpliwości co do takiego stanu rzeczy, i to poprostu dlatego, że zagadnienie tej czy innej wartości pieniądza *w obecnej sytuacji* w Polsce nie jest wcale zagadnieniem istotnym. Istotne natomiast jest coś innego: całokształt naszego położenia gospodarczego na kuli ziemskiej i te trudności, jakie z całokształtu tego właśnie w chwili *obecnej* dla Polski i organizmów gospodarczych jej podobnych muszą wynikać.

że na szerokim świecie kryzys się „kończy", o tem nie będziemy już wspominać. Fakt to niewątpliwy i powszechnie stwierdzony. Inna rzecz, *jak długo* ten proces ożywienia będzie trwał, zanim nie przejdzie w prawdziwie wysoką koniunkturę. Ceny na całym świecie zwyżkują. Ale zwyżkują, oczywiście, nierównomiernie. Jedne produkty idą w cenie szybciej w górę, inne — wolniej. Co więcej, w jednych krajach tempo ekspansji zaczęło się już dawno i obecnie koniunktura (być może — tylko chwilowo...) przekracza już swój zenit, w innych znajdujemy się w fazie początkowego rozwoju, w innych wreszcie stoimy dopiero przed nim. Nigdy wprawdzie ruch cen na świecie nie jest absolutnie identyczny w zakresie czy to produktów czy to krajów, ale też nigdy nie było takich fantastycznych rozpiętości pomiędzy poszczególnemi poziomami cen jak obecnie. W tej chwili zatem ceny i koniunktury poszczególnych artykułów czy krajów mają wprawdzie wszystkie jednolity kierunek ku górze, ale jedne idą wolniej, inne szybciej, jedne wstrzymują się, inne dopiero iść poczynają... Trwać to może jeszcze dość długo, zanim nastąpią dalsze akordy poprawy.

Mechanizm obrotu światowego jest silnie nadszarpnięty, że nie powiemy — połamany. Nie wiadomo, czy w ogóle kiedyś dojdzie on jeszcze do tych pięknych i nieskomplikowanych czasów, kiedy to kraje „zaawansowane w rozwoju" kupowały surowce i środki żywności w krajach „zacofanych", a, sprzedając im wyroby gotowe, rozwijały swój przemysł, mnożyły bogactwa i po zużyciu pokaźnej jej części na własne potrzeby wypożyczały resztę krajom „zacofanym", aby i inne z kolei mogły się rozwijać i szybciej bogacić. Mamy poważne wątpliwości, czy ta „sielanka" XIX-go wieku powróci w całości. Ale pewne jest, iż niejakie jej ułamki powrócą. Dawny mechanizm zacznie działać z ograniczeniami „korekturami". Kiedy — nie wiadomo.

Zanim to nastąpi polityka gospodarcza poszczególnych krajów świata musi dbać o to, aby powierzone jej organizmy gospodarcze doprowadzić do końca tej zawieruchy w stanie możliwie jak najlepszym. Dlatego też polityka ta musi być różna w zależności od *sytuacji*, jaką dany organizm gospodarczy zajmuje w całości gospodarstwa światowego, i od reakcji, jaką wykazuje w stosunku do obecnych przemian. Inna w tych warunkach musi być np. polityka państwa wierzycielskiego, wywożącego produkty gotowe, jak np. Anglii, inna kraju wybitnie surowcowego (powiedzmy — Argentyny czy Australii), inna jeszcze kraju o strukturze mieszanej, inna — dłużnika, który skonsolidował swe zobowiązania zagraniczne, a inna znów takiego, który nie zdołał tego dokonać...

Mówienie w tych warunkach o jakiejś „wspólnocie" ideologicznej krajów świata, opierającej się na bardziej czy mniej mglistej tendencji ku liberalizmowi gospodarczemu, jest zwykłą literaturą. Nowy porządek gospodarczy na kuli ziemskiej musi się stopniowo „utrząść" samoczynnie — i pomagać mu w tem nikt nie zdoła.

Co ma w takich warunkach robić Polska? Znów musi wychodzić ze swej sytuacji na kuli ziemskiej. W największym uproszczeniu przedstawia się ona przecież nie inaczej jak w ten sposób, iż, importując kapitał i wspierając rozwijającą się przy tem kapitalizację wewnętrzną, będziemy musieli tak rozwinąć nasz aparat produkcyjny, aby móc w całości zatrudnić wszystkich obywateli i zdołać wygospodarować nadwyżki produkcyjne, umożliwiające spłacenie zaciągniętych od zagranicy zobowiązań. Jakie elementy w tym *naszym* mechanizmie gospodarczym ulegają obecnie zmianie? Chwilowo — żadne. Z chwilą, kiedy prowadzimy politykę o wyraźnych celach tylko koniunkturalnych, a więc taką, która nie chce zmieniać w sposób nagły naszej rzeczywistości gospodarczej a pragnie tylko tę rzeczywistość w ewolucyjny sposób udoskonalać, musimy czekać na „zagranie" w mechanizmie światowym tych czynników, które i nasz mechanizm poruszą. Tymi czynnikami może być tylko: wzrost cen światowych do naszego

poziomu — i wznowienie międzynarodowego obiegu kapitałów. Dwa te elementy puszczają pełną parą w ruch i nasz motor gospodarczy. Dopóki zaś nie zjawiły się one, musimy czekać.

W jaki sposób? W taki, aby oba te główne czynniki, skoro wreszcie nadejdą, miały z nami możliwie mało „kłopotu" przy poruszeniu tego motoru, o którym mówiliśmy powyżej. To znaczy — z jednej strony, aby bilans płatniczy był w tej chwili per fas et nefas zrównoważony (utrzymać ograniczenia dewizowe...), aby jednocześnie aparat produkcyjny działał (nie dopuścić do trudności w dostarczaniu surowców zagranicznych...) i aby ceny wewnętrzne możliwie szybko zostały dogonione przez wzrastające ceny światowe. Im bowiem pójdą one u nas silniej w górę, tem odleglejszy staje się moment „włączenia prądu" koniunktury światowej do naszego motoru narodowego.

To znaczy, iż obecna zwyżka cen, w której nie chcemy już dyskutować momentów spekulacyjnych i „panicznych", przychodzi u nas *zawcześnie*. Przykro to powiedzieć wtedy, kiedy się tak tęskno oczekiwało jej przez długie lata. Ale w tej wczesności tkwi właśnie wyjaśnienie paradoksu, dlaczego to, pragnąc zwyżki cen, trzeba ją *w tej chwili gnębić*. Jeszcze jeden paradoks kryzysowej polityki gospodarczej...

a. w.

POLICJANT NA RYNKU

Dla człowieka rozumującego kategoriami polityczno-gospodarczemi, brzmieć musi obco i niesympatycznie wpływanie na poziom cen przy pomocy policji. Z drugiej strony jednak ostatnie posunięcia Rządu w tej dziedzinie, b. ostre i dosyć szeroko zakrojone, nie wywołują w przeciętnym obywatelu — również wówczas, gdy zwykł on rozumować kategoriami polityczno-gospodarczemi — nastroju zdecydowanie negatywnego. Reakcją na te zarządzenia jest nie tyle kategoryczny *sprzeciw*, co *obawa*, czy zamierzone i pożądane ich skutki nie będą mniejsze od skutków niezamierzonych i niepożądanych. Reakcja negatywna dotyczy więc nie tyle samej zasady, co zakresu i metody jej stosowania.

Istotą tych metod „policyjno-gospodarczych" jest, że obejmują one krańcowy efekt procesu gospodarczego, t. j. cenę towaru, nie wnikając w to, czy ów efekt krańcowy nie jest *koniecznym skutkiem* całego kompleksu przyczyn, kształtujących tę właśnie cenę, której stosowania policjant zabrania. Oczywiście, przyczyny te mogą leżeć zarówno po stronie podaży, jak i po stronie popytu.

Wyobraźmy sobie, że na skutek bardzo sprawnej interwencji policyjnej kupiec może sprzedawać jakiś towar nie wyżej ustalonej ceny, w której jednak nie sposób zmieścić ceny hurtowej, kosztów handlowych i godziwego zysku. Przypuśćmy, że sprawność policji będzie tak wielka, że nie dopuści ona do stosowania innej ceny nigdzie, nie tylko w sklepie, ale również w piwnicy sklepowej. Z momentem wyprzedania starych zapasów towar zniknie z rynku. Jednocześnie detalista wywierać będzie nacisk na hurtownika, aby mu oddał towar po cenie mieszczącej się w cenie policyjnej. Hurtownik wywrze taki sam nacisk na producenta. Producent cisnąć będzie na swe koszta własne.

Jeżeli w któremkolwiek z tych ogniw powstają jakieś przerosty kalkulacyjne, pozbawione obiektywnego uzasadnienia gospodarczego — to interwencja policyjna istotnie może je usunąć i cena narzucona przez policję może się stać ceną gospodarczo słuszną. Zauważyć wypada, że w tym wypadku działanie interwencji jest w skutkach swych identyczne z działaniem wolnej konkurencji, która automatycznie wyrzuca z rynku elementy niepotrzebnie kosztowne. O ile więc mamy do czynienia z rynkiem, na którym wolna konkurencja *istotnie działa* — ingerencja policyjna nie może dać nic lub zupełnie nie wiele, o ile narzuca ona detaliście cenę racjonalną, w której, po odpowiednich modyfikacjach, można zmieścić wszystkie elementy kalkulacyjne; o ile policjant narzuca cenę w żadnym wypadku nie mieszczącą elementów kalkulacyjnych, wówczas może on spowodować co najwyżej zniknięcie towaru z rynku, a w praktyce jego ucieczkę „w podziemia" i dodatkowe podniesienie ceny, gdyż wówczas do kalkulacji dochodzi ryzyko i zmniejszenie obrotów.

Z powyższego nie wynika, aby interwencja policyjna zawsze była albo zbędna, albo szkodliwa. Może ona być pożyteczna, gdy automat wolnej konkurencji działa niesprawnie lub zbyt wolno, t. j. gdy w niektórych ogniwach procesu gospodarczego powstają nieuzasadnione przerosty kalkulacyjne. Przerosty takie łatwo wywołuje spekulacja, a w szczególności spekulacja oparta na przewidywaniu, że znajdą wypadki nadzwyczajne, jak np. dewaluacja pieniądza. Zwyżka cen oparta na spekulacji dewaluacyjnej jest czynnikiem wydrążającym walutę od wewnątrz, czynnikiem mogącym zmusić do dewaluacji skąd inąd nie koniecznej i nie zamierzonej. Przeto nacisk policyjny, wyrzucający z kalkulacji ceny składnik odpowiadający ryzyku dewaluacyjnemu — jest jednocześnie usuwaniem tego ryzyka. W tych przeto wypadkach działanie policjanta ma legitymację gospodarczą.

Jeszcze bardziej wyraziście dojdziemy do tego samego wniosku analizując wypadek, gdy zwyżka cen wywołana jest kształtowaniem się popytu, a nie podaży; z taką właśnie sytuacją mamy obecnie do czynienia w Polsce.

Niepokoje walutowe spowodowały ucieczkę od pieniądza, „tezauryzację w towarze", a więc wzrost popytu. Długotrwałość takiego zjawiska oczywiście zmieniłaby kalkulację ceny, w pierwszym jednak stadium kalkulacja ta nie ulega zmianie. Towar *może* być sprzedawany tanio — ale można też wziąć za niego cenę wyższą. Kupiec dyskontuje tę koniunkturę i nawet powinien to czynić, mając na uwadze sprawę odkupu. Gdy policjant zmusi do ceny niskiej — wzrosną ilościowo rozmiary sprzedaży. W pewnym momencie rozmiary podaży okazać się mogą niewystarczającymi i wówczas policyjne utrzymywanie niskiej ceny będzie nawet szkodliwe, gdyż odetnie ry-

nek od towaru. Jeżeli jednak spekulacyjny wzrost popytu ma krótki oddech, a stan zapasów oraz rozmiary i elastyczność produkcji są dostateczne — niebezpieczeństwo takie nie zachodzi. Policyjne utrzymanie ceny na niskim poziomie jest w tej konstelacji pożyteczne, gdyż chroni przed przeniesieniem zwyżki spekulacyjnej na koszta własne.

W myśl powyższego uważamy, że policyjne regulowanie cen jest obecnie — z gospodarczego punktu widzenia — dopuszczalne, może bowiem skutecznie i bez szkody przyczynić się do zahamowania wzrostu cen, wynikającego ze spekulacji na dewaluację, oraz ze spekulacji na szybki wzrost koniunkturalny.

Tem niemniej jednak metoda policyjna pozostaje niebezpieczną, bardzo trudno bowiem zapewnić sobie pewność, że ostry ten nóż będzie ciął tylko narośl spekulacyjną i nie skaleczy zdrowego mięsa kalkulacji.

Poza tem — *dopuszczalność* metody policyjnej nie znaczy bynajmniej, aby była ona *pożądana*. Nie motywując tego bliżej wypowiadamy pogląd, że im mniej policjanta w handlu, tem lepiej. Z czego wniosek, że w momentach, gdy konieczną się okazuje ingerencja policjanta na rynku — tem konieczniejszą jest wzmożona aktywność tych wszystkich instytucyj gospodarczych, które w szerszym czy węższym zakresie mogą działania policyjne uczynić zbędnymi.

HENRYK GRENIEWSKI

AMORTYZACJA URZĄDZEŃ INWESTYCYJNYCH

Klasyczne metody umarzania są już przestarzałe, utrzymują się w praktyce przede wszystkim na podstawie tradycji. Należy zwrócić baczną uwagę na nowe koncepcje teoretyczne i próby ich zastosowania.

1.

Pan Iksiński jest człowiekiem wzorowo solidnym i rozsądnym, to też chce zabezpieczyć rodzinę na wypadek swej śmierci. W tym celu pan Iksiński co miesiąc wpłaca pewną kwotę na książeczkę oszczędnościową, a to w celu uzbierania „kapitału", który podjąć ma wdowa „po najdłuższym życiu" Iksińskiego. W podobny sposób zabezpiecza się pan Iksiński przed ryzykiem choroby i utraty zdolności do wykonywania pracy zawodowej (inwalidności). Pan Iksiński, jako że jest tylko zwykłym śmiertelnikiem, nie może z góry przewidzieć jak długo będzie żył, jak długo będzie zdolny do pracy, czy i kiedy oraz jak ciężko zachoruje, rozumie natomiast, że każde z tych ryzyk *może* (chociaż nie musi) zrealizować się nagle i prędko. W konsekwencji pan Iksiński (przypominamy tu o jego wzorowej solidności) wpłaca b. wysoką wkładkę oszczędnościową, śpieszy się, chce jaknajprędzej uzbierać dostatecznie wysoką „rezerwę bezpieczeństwa", obniża z konieczności przez to swoją stopę życiową, a pewności, że „zdąży" zdobyć nie może.

Pan Igrekowski urządził się wygodniej, ubezpieczył się na wypadek śmierci, inwalidności i choroby. Ubezpieczył się, a więc stał się uczestnikiem pewnej operacji finansowej, w której ogół uczestników stanowi solidarną całość (podobnie jak w niektórych grach losowych np. w loterii). P Igrekowski nie obawia się przedwczesnej realizacji ryzyka. W razie realizacji ryzyka w jego życiu płatne będzie świadczenie o z góry ustalonej wysokości niezależnie od tego czy świadczenie to pokrył swymi indywidualnymi składkami. Jeżeli ryzyko realizuje się zbyt wcześnie, lub zbyt intensywnie, aby składki Igrekowskiego stanowiły dostateczne pokrycie, inni uczestnicy „gry" pokryją brakującą różnicę. Możliwe jest jednak, że Igrekowski będzie żył długo i nie będzie chorował, a wówczas „przepłaci" ubezpieczenie t. j. będzie subwencjonował innych uczestników „gry".

2.

Od dość dawna, boć od czasów J. B. Say'a znane są analogie między kapitałem rzeczowym, a „kapitałem osobowym" (ludzie zdolni do pracy, umiejętności człowieka). Zwykle korzysta się z tych analogij w jednym kierunku: pewne rozważania dotyczące kapitałów rzeczowych „przenosi się" na kapitały osobowe. Za rezultat takiego (trudno by mi było ustalić, czy świadomego) „przeniesienia" rozważań z dziedziny rzeczowej na osobową możnaby uważać koncepcję obliczania t. zw. „wartości pieniężnej człowieka" zapoczątkowaną przez aktuariuszy angielskich, a rozwiniętą i stosowaną w celach praktycznych przez aktuariuszy w U. S. A. (Dublin i Lotka). Mamy tutaj zamiar omówić pewne „przeniesienie" o kierunku wręcz odwrotnym, chodzi mianowicie o zastosowanie pewnej konstrukcji finansowej, mającej zwykle na celu zabezpieczenie od ryzyka osobowego, do dziedziny rzeczowej, do zabezpieczenia przed pewnymi ryzykami, zagrażającymi kapitałowi rzeczowemu.

3

Weźmy pod uwagę jakieś urządzenie inwestycyjne (np. budynek, maszynę, statek, wagon), urządzenie to podlega różnorodnym ryzykom m. in. wchodzą tu w grę:

(a) ryzyko usuwalnych uszkodzeń,

(b) ryzyko demodernizacji,

(c) ryzyko zniszczenia.

Ad (b). Przez „demodernizację urządzenia inwestycyjnego rozumiemy spadek dochodu przez dane urządzenie wytwarzanego, wywołany przestarzałością urządzenia a nie przez inne przyczyny (np. koniunkturalne). Ryzyko demodernizacji uzależnione jest od szeregu skomplikowanych czynników (od postępu techniki budowy urządzeń danego typu, lub urządzeń zastępczych, rozwoju zamożności grup ludności, korzystających z danego urządzenia i t. d.).

Jasnem jest, że między ryzykami: (a), (b) i (c) z jednej, a ryzykiem choroby, inwalidności i śmierci z drugiej strony zachodzą wyraźne analogie. W szczególności analogia między demodernizacją a inwalidnością polega na tem, że demodernizacja — to spadek dochodu wytwarzanego przez obiekt majątkowy, inwalidność — to spadek dochodu z tytułu pracy ludzkiej. Oba pojęcia są przy tem natury ilościowej.

Każda analogia może być przydatna pod warunkiem, aby jej nie przeceniać. Rozważanie podobieństw, zachodzących między dwiema odrębnymi dziedzinami może być pożyteczne pod warunkiem, żeby nie zapominać i o różnicach. Sprobujemy teraz ostrożnie stosować stwierdzone przed chwilą analogie.

4.

Scharakteryzowaliśmy na przykładzie panów Iksińskiego i Igrekowskiego dwie metody zabezpieczenia się przed ryzykiem zagrażającym „kapitałowi osobowemu": jedną tradycyjną, polegającą na tworzeniu indywidualnych rezerw bezpieczeństwa, drugą racjonalną, opartą na prawidłowości statystycznej masowych zjawisk biologicznych.

W dziedzinie rzeczowej właściciele urządzeń inwestycyjnych przypominają raczej pana Iksińskiego niż pana Igrekowskiego (o wyjątkach na terenie Niemiec będziemy mówili nieco później). Dla każdego urządzenia inwestycyjnego właściciel tworzy zwykle odrębny fundusz remontowy i fundusz amortyzacyjny, zabezpieczając odrębnie każdą maszynę, budynek, czy statek na wypadek „choroby", „inwalidności" i „śmierci". Rezultaty postępowania takiego są równie ujemne jak u pana Iksińskiego: okres amortyzacji urządzenia musi być stosunkowo krótki, a więc wysokość odpisu amortyzacyjnego — znaczna, skuteczność zaś — wątpliwa. Prawda, przyznać to trzeba, że niektóre przedsiębiorstwa postępują w sposób niemal racjonalny (ale jest to chyba nieraz racjonalność nieuświadomiona), jeżeli mianowicie jakieś przedsiębiorstwo posiada wielką ilość urządzeń tego samego typu (wagony, lub nawet lokomotywy wielkiego przedsiębiorstwa kolejowego, ostatecznie nawet okręty największych linij morskich), to wówczas przy pozorach tworzenia indywidualnych funduszów rezerwowych (remontowych i amortyzacyjnych) powstaje niemal racjonalny system samoubezpieczenia (tylko *niemal* racjonalny, gdyż wątpić można czy wysokość odpisów i rezerw oparta została na poprawnym rachunku aktuarialnym). Pamiętać jednak należy, że tego typu przedsiębiorstwa są wyjątkami nawet w gospodarstwach narodowych o wysokim stopniu koncentracji, a co dopiero w innych warunkach.

5.

W związku z rozważaniami powyższymi mógłby ktoś sformułować wątpliwość następującą: Ubezpieczenie osobowe jest możliwe dzięki prawidłowościom statystycznym, którym podlegają masowe zjawiska biologiczne, czy możemy liczyć na analogiczne prawidłowości w obrębie dostatecznie liczebnych i dostatecznie jednorodnych populacyj urządzeń inwestycyjnych?

Jak się zdaje posiadamy obecnie podstawy do sformułowania odpowiedzi pozytywnej, przynajmniej jeśli chodzi o ryzyko usuwalnych uszkodzeń i ryzyko zniszczenia. Ryzyko demodernizacji jest niewątpliwie słabo ubezpieczalne, sprawić może ono wiele kłopotów, w wysokim zresztą stopniu przypominających różne przykre strony ryzyka inwalidności, bardzo niechętnie do dziś dnia obejmowanego przez ubezpieczenie dobrowolne. Wyjaśnienia, w jaki sposób ryzyko demodernizacji można by jednak objąć przez ubezpieczenie przymusowe, ze względu na swój bardzo specjalny charakter, wykraczałyby poza ramy niniejszego artykułu.

Ubezpieczenie „życiowe" (a ściślej chorobowo-życiowe") urządzeń inwestycyjnych powstało w Niemczech i tam wyłącznie (o ile autorowi wiadomo) dotychczas się rozwija. Projekt ubezpieczenia „życiowego" budynków mieszkalnych wysunął po raz pierwszy H. Heymann w 1915 r. w pracy swej o kwestii mieszkaniowej. Pierwsze podstawy techniczne opracował wybitny aktuariusz niemiecki G. Höckner. Ubezpieczenie „życiowe" budynków, zaczęło funkcjonować w roku 1920, okrętów — w 1922 r., następnie uruchomiono ubezpieczenie samochodów i wagonów, wreszcie w 1925 r. — maszyn.

6.

Nieprawidłowy sposób pokrywania kosztów remontu, nieprawidłowa konstrukcja amortyzacji są to czynniki, które w wysokim stopniu utrudniają orientację, czy w danym przedsiębiorstwie następuje kapitalizacja, czy może tylko utrzymanie wartości dokonanych inwestycji, a może nawet—dekapitalizacja. W poprzednim numerze Gospodarki Narodowej pan Stefan Meyer w notatce p. t. „Uśmiercenie" wysunął słuszny postulat rewizji przepisów o podatku dochodowym w związku z problemem amortyzacji. Sądze jednak, że wadliwy jest nie tylko sposób uwzględniania amortyzacji przy wymiarze podatku dochodowego, lecz i same metody amortyzowania budzą nieraz zasadnicze wątpliwości, którym wyżej starałem się dać wyraz. Chciałbym ponadto zauważyć, że przepisy o podatku dochodowym powinny być w ten sposób skonstruowane, aby premiować tylko stosowanie racjonalnych metod zabezpieczenia przed ryzykiem, z tego też względu sądzę wbrew p. Meyerowi, iż słusznem jest, że odpisy na samoubezpieczenie ogniowe nie są traktowane na równi ze składkami ubezpieczenia ogniowego, gdyż samoubezpieczenie ogniowe niemal nigdy nie może być uważane za urządzenie racjonalne.

NOTATKI

NIE DRĘCZYĆ ZWIERZĄT

Poniedziałkowy dziennik „Depesza“ (z 12.X. b. r.) piórem swego gdyńskiego współpracownika obraził się i pogniewał na „organ młodych etatystów“, t. zn. na nasze pismo, za uwagę p. t. „Wołyńska Gdynia“, umieszczoną w Nr. 19 „Gospodarki“. „Depeszy“ nie spodobały się, mianowicie, ostatnie zdania wym. uwagi, jako „niebezpieczne uogólnianie, które prowadzi do dytyrambów na cześć etatyzmu“, który to etatyzm „ma mało wspólnego ze świadomym kierunkiem myśli ekonomicznej“ i „stanowi właściwie światopogląd pewnego odłamu społeczeństwa“.

Zacznijmy „ab ovo“. To, że jakaś doktryna stanowi „światopogląd pewnego odłamu społeczeństwa“, nie zawiera w sobie nic sensacyjnego, a jest rzeczą najzupełniej naturalną i prostą. Czy taka doktryna ma dużo czy mało wspólnego ze „świadomym kierunkiem myśli ekonomicznej“, nie wiemy, bo musielibyśmy wpierw zrozumieć, co gdyński korespondent „Depeszy“ rozumie przez słowo: „świadomej“; gdyby zaś etatyzm był „kierunkiem myśli ekonomicznej“, to zapewne łamy „Depeszy“ groziłyby karami piekielnemi jego prawdziwym i urojonym wyznawcom.

„Depesza“ zajmuje w stosunku do etatyzmu stanowisko nieprzejednane. To jej wolno. Nie jesteśmy adwokatami etatyzmu i nie będziemy walczyli z „Depeszą“ za jej anty-etatyzm. Ale pragnęlibyśmy prosić o wytłumaczenie, gdzie i kiedy państwo zabierało inicjatywie prywatnej tłuste kąski, zostawiając jej skórę i kości? Bo jeżeli „Depesza“ pisze (i to piórem współpracownika z Gdyni, gdzie etatyzm w ogóle nie występuje), że państwo „chętnie angażuje się we wszelkie interesy, przynoszące zarobek“ — to należałoby powiedzieć: „Na zdrowie!“, zwłaszcza, iż dotychczas mówiło się i pisało wprost odwrotnie, że państwo podejmuje inicjatywę tam, gdzie kapitał prywatny boi się ryzyka i strat, a inicjatywa — coute que coute — podjęta być musi. Czy poza monopolami i pocztą (także monopolem państwowym) kapitał prywatny będzie się rwał np. do budowy i eksploatacji kolei, do przemysłu wojennego, linij żeglugowych i lotniczych, wodociągów etc., a nawet do węgla („Brzeszcze“), którego deficytowość ogłasza się urbi et orbi — my wątpimy. Ale może jesteśmy nieoświeceni.

Mniejsza zresztą o etatyzm, o którym dowiedzieliśmy się rzeczy wprost rewelacyjnych, a dla p. wicepremiera niewątpliwie niesłychanie przyjemnych (przedsiębiorstwa państwowe, jako instytucje zarobkowe, toż to pierwszorzędna gratka dla dochodów skarbowych!). Wróćmy do... Janowej Doliny. Korespondent „Depeszy“ jest dla nas pełen uznania, pisze bowiem, iż uwagi nasze o prymitywizmie, anachronizmie, powściągliwości i skromności inicjatywy prywatnej są „na odcinku Janowej Doliny słuszne, jeśli chodzi o bierność inicjatywy prywatnej“ (to było celem omawianej uwagi). Ale wkrótce potem wyraża pogląd, że piekarze z Kostopola, którzy nie chcą zaryzykować kapitałów w budowę piekarni, wypiekających chleb w ilościach, zdolnych zaspokoić potrzeby rosnącego ośrodka, — czynią dobrze, albowiem... „z państwem nic nie wiadomo“. T. zn. gdyby Janową Dolinę eksploatował kapitał prywatny (przykład takiej eksploatacji daje sąsiedni Klesów), piekarze mieliby zagwarantowany byt, bo nie groziłby kamieniołomom... import kostki szwedzkiej. Zaiste, niezbadane są tajniki myśli ludzkiej: dlaczego „ausgerechnet“ państwowe przedsiębiorstwo ma zmniejszyć lub zamknąć swą produkcję w razie konkurencji (wyimaginowanej) artykułu importowanego, a przedsiębiorstwo prywatne zwycięsko tę konkurencję odeprze — tego, doprawdy, zrozumieć nie sposób.

Ale największe „curiosum“ mieści się gdzie indziej. „Depesza“ drukuje, że piekarze kostopolscy (których dziennikarz z Gdyni nawet sobie dokładnie nie wyobraża) jeszcze dlatego nie chcą piec pieczywa, że przecież w każdej chwili „młody zdolny urzędnik“ (to pod naszym adresem) przekona dyrekcję kamieniołomów, iż piekarze za dużo zarabiają, a zatem niech kamieniołomy same wypiekają chleb. Na takie „dictum“, zaiste, nie ma odpowiedzi. Bo jak tu „smutnemu pętakowi“ [1]) wytłumaczyć, że dyrekcja sto razy mogła była wziąć się do wypieku chleba (jak wybudowała domy, zorganizowała jadłodajnie etc.), ale odżegnywa się od tego, jak diabeł od święconej wody. I czeka cierpliwie na tę inicjatywę prywatną, chociaż robotnicy albo w ogóle chleba nie mają, albo jedzą marne gatunki chleba. Nie znać stosunków wołyńskich i na przedsiębiorstwo państwowe zwalać winę niepopełnionych i niezamierzonych rzeczy, zamiast wytknąć kapitałowi prywatnemu, że się leni i boi ryzyka, bez którego nie ma zysku (a kapitalizm — sensu) — to, innymi słowy, odwracać kota ogonem. Wiadomo zaś, że taka zabawa jest dla kota bolesna, wobec czego prosimy: „nie dręczyć zwierząt!“

z. i.

KARTELIZACJĄ GÓRNICTWA WĘGLOWEGO

Jak powszechnie wiadomo istnieją u nas dwie zasadniczo różne gałęzie górnictwa węglowego: górnictwo legalne i „bieda - szyby“. Z punktu widzenia polityki zatrudnienia druga z tych gałęzi nie może być zlekceważona. W zagłębiu chrzanowskim np. w bieda - szybach pracuje ca 700 ludzi, t. j. tyluż, ilu zatrudnia pewna spółka akcyjna, posiadająca kopalnię w tymże zagłębiu. Wydobywanie węgla przez bieda-szyby, a więc produkcja oparta na kradzieży (eksploatacja cudzych pól górniczych) i na łamaniu obowiązujących przepisów ustawowych z różnych dziedzin, nie napotyka naogół na ostre sprzeciwy ze strony władz. Przeciwnie, niejeden prawdopodobnie starosta zadowolony jest z tego, że bieda - szyby odciążają nieco nad wyraz skromny budżet opieki społecznej.

Bieda - szyby wytworzyły już pewne dość ustalone formy organizacyjne, formy, trzeba to przyznać, dość nowoczesne. W zagłębiu chrzanowskim bieda-

[1]) Odpowiadamy tak — z konieczności a bez satysfakcji — za nazwanie nas „wesołym pętaczem“ (bo pętamy inicjatywę prywatną)...

szyby odrzuciły dziewiętnastowieczną metodę konkurencji. Młodsza gałąź górnictwa węglowego ma widać ambicję „dogonienia i przegonienia“ metod pracy przemysłu legalnego. Krótko mówiąc chrzanowskie bieda-szyby stanowią kartel. Mało tego, mają wspólne „biuro sprzedaży“. Każdy kartel pozostaje pod ryzykiem rozbicia i ryzykiem wyłamywania się poszczególnych uczestników. „Kapitanowie przemysłu“ bieda - szybowego potrafili zredukować to ryzyko do b. niskiego poziomu. Kartel posiada własną „policję“. Próby wyłamania się są karane przez „policję“ w sposób radykalny przy pomocy pewnego wytworu przemysłu metalowego, zwanego w niektórych okolicach kraju „majchrem“.

Młodsza gałąź górnictwa węglowego posiada też pewne ambicje społeczne, realizuje hasło „frontem do wsi“, dając zatrudnienie ludności wiejskiej: węgiel z bieda - szybów wędruje dziesiątki kilometrów na chłopskich wozach. Mógłby ktoś zauważyć wprawdzie, że zatrudnianie biedoty wiejskiej w transporcie węgla nie jest akcją ze strony kartelu bieda - szybów całkowicie bezinteresowną. Trudno! Przemysł surowcowy pozostanie zawsze przemysłem surowcowym! Starszy (i kapinkę zamożniejszy) „braciszek“ bieda - szybów też nadmiaru bezinteresowności w swoich poczynaniach „w imię dobra ogółu“ nigdy jakoś nie zdradzał.

x. y.

SKŁADKOWE SAMOLOTY

Wysiłkiem materialnym dziesiątków tysięcy ofiarnych jednostek budowane są obecnie samoloty i czołgi dla wojska, dostarczany jest również tu i ówdzie sprzęt specjalny. Jest to objaw, bez wątpienia, nader korzystny, świadczący bowiem o zrozumieniu przez społeczeństwo roli nowocześnie uzbrojonej armii w obliczu niepewnej sytuacji zewnętrzno - politycznej. Omawiane zbiórki przyczyniają się równocześnie do zwiększenia zatrudnienia przemysłów (państwowych i prywatnych), pracujących dla potrzeb wojska.

Nie jesteśmy kompetentni w zakresie spraw obrony kraju, wydaje się nam jednak, że łożyska, w które włożono realizację wspomnianej ofiarności publicznej, wymagają pewnej poprawki czy uzupełnienia. Ofiarowane wojsku samoloty wzmacniają aktualny park lotniczy, uzupełniają lub powiększają możliwości szkolenia nowych pilotów, nie mniej stanowią one tylko nieznaczny odsetek *istniejącego* stanu. To samo możnaby powiedzieć o czołgach lub maskach gazowych. Ofiarność ta nie rozwiązuje natomiast kwestii *gotowości* przemysłu wojennego, nie rozszerza bowiem *bazy* technicznej tego przemysłu. Dla potrzeb okresu wojny decydującym jest ilościowy i jakościowy stan zakładów i ich urządzeń, służących armii. Cóż z tego, że będziemy posiadali dzisiaj — dajmy na to — 5.000 samolotów, jako rezultat prac, powiedzmy 5 lub 3 *istniejących* fabryk lotniczych, jeżeli w okresie wojny trzeba będzie produkować 1.000 samolotów miesięcznie, a nie — jak obecnie — w stosunku rocznym. Cóż z tego, że park samochodowy wzmocnimy *dzisiaj* o 20 czy 200 czołgów, jeżeli polskie fabryki przemysłu metalowego nie będą posiadały zapasów niezbędnych surowców w ilościach, gwarantujących wzmożenie tempa produkcji do skali potrzeb i wymagań frontu.

Powtarzamy, nie jesteśmy znawcami zagadnień wojennych i wątpliwości nasze mogą być zgoła naiwne. Wydaje się nam jedynie, że stosunek emocjonalny do tych zagadnień nie powinien wykluczać możliwości zmian strukturalnych w naszej dotychczasowej polityce gospodarczej, bezpośrednio i pośrednio związanej z obroną kraju.

k. b.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA“ ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.